

i nowy konkurs (główna wygrana samochód marki „Warszawa”.)

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 15 (93) ROK III

WARSZAWA 15. IV. 1962

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

- **Misterium
Męki
Pańskiej – str. 8**
- **Tragiczne
życie
rzeźb – str. 12**



ZDJĘCIE z KRZYŻA



(Do Filipian 2, 5-11)

Bracia: To bowiem rozumieście, co i w Chrystusie Jezusie, który mając naturę Bożą nie poczytywał swej równości z Bogiem za przywłaszczenie, ale wyniszczył samego siebie przyjmawszy naturę sługi, stawszy się podobnym do ludzi i dla swego sposobu życia uznany był za człowieka. Uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a była to śmierć krzyżowa. Dlatego i Bóg wywyższył Go i nadał Mu imię przewyższające wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się wszelkie kolano mieszkańców niebios, ziemi i podziemia, i żeby wszelki język wyznawał, że Jezus Chrystus Jest Panem w chwale Boga Ojca.



czytana podczas poświęcenia palm
(Św. Mateusz 21, 1-9)

Onego czasu: Gdy się przybliżali do Jeruzalem i przyszli do Betfage na Górze Oliwnej, wtedy Jezus wysłał dwóch uczniów mówiąc im: Idźcie do wsi, która jest przed wami, a niebawem znajdziecie oslicę przywiązaną i osłę z nią: odwiążcie i przywieździe do mnie. A jeśli wam kto co mówił, powiedzcie, że Pan ich potrzebuje, a natychmiast puści je. A wszystko to się stało, aby się wypełniło, co powiedziane jest przez proroka, mówiącego: Powiedzcie córce Syjońskiej: Oto zdąży ku tobie król twój, cichy, siedzący na oslicy (Zach. 99) i na osłęciu, synu podjarzemnej. Idąc tedy uczniowie uczynili, jako im przykazał Jezus. I przywieźli oslicę z osłęciem, i włożyli na nie szaty swoje, a Jego posadzili na nie. A wielka rzesza ślała szaty swoje na drogę, a drudzy obcinali gałązki z drzew i rzucali na drogę. Rzesze, które wyprzedzały i które postępowały za Nim, wołały mówiąc: Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który przybywa w imię Pańskie. Hosanna na wysokościach! (Ps. 117, 26).

W ubiegłe dni okresu Męki Pańskiej śledziliśmy spisek przeciw Chrystusowi. Teraz zobaczymy jego skutek. Będzie nim krzyż, poprzedzony jeszcze triumfalnym wjazdem Pana Jezusa do Jeruzolimy. Pamiątkę tę czerpiemy właśnie Niedziela Palmowa.

Uroczystości tego dnia składają się z trzech części: poświęcenia palm, procesji i Mszy św., każda z nich pochodzi z innej epoki i z innego środowiska liturgicznego. Historycznie najstarsza jest procesja. Powstała bowiem już w IV wieku w Jeruzolimie, a stamtąd między V a VI wiekiem weszła w zwyczaj na Zachodzie. Obrzęd poświęcenia powstał około XI wieku, a data formalna Mszy św. waha się w granicach V-VII w. Przebieg obrzędów Niedzieli Palmowej jest następujący: Po poświęceniu palm wyrusza procesja. Wszyscy trzymają palmy w rękę. Symbolizują one zwycięstwo, które ma być odniesione nad księciem śmierci, a także oznaczają przymierze duchowe i miłosierdzie Boże oraz pokój i błogosławieństwo domom, w które zostaną wniesione.

Procesja była pierwotnie urozmaicona różnymi obrzędami i zwyczajami. Dziś jej liturgia jest prosta — składa się ze śpiewu antyfon i psalmu 147. W czasie procesji kler śpiewa piękny hymn Teodulfa. Lud w miarę możliwości powtarza refren tego hymnu: „Niech Ci będzie cześć i chwała, Chryste Panie”...

Wreszcie rozpoczyna się Msza św. Charakter jej jest bolesny. Psalm 22 to psalm Męki, który Chrystus odmawiał na krzyżu.

Krótką ale bogatą w treść Lekcja tłumaczy nam znaczenie krzyża. Chrystus stał się posłuszny aż do śmierci z miłości ku Ojcu i ku nam.

Na podstawie bardzo starej tradycji czyta się w Niedzielę Palmową opis męki Jezusa Chrystusa według ewangelii św. Mateusza, zwany pospolicie Pasją. Pasję śpiewa niekiedy trzech kantorów.

Oto krótka jej treść:

Zbliżała się północ. Judasz opuścił Wierczenik i poszedł do kapłanów zdradzić im miejsce nocnego pobytu Jezusa. Chrystus udał się do Ogrodu Oliwnego, oddalonego od Wierczenika mniej więcej o dwa kilometry.

Było to zaciszne miejsce, ulubione przez Jezusa. Ośmiu uczniów pozostawił Jezus u wejścia do ogrodu, a z sobą wziął trzech — Piotra, Jakuba i Jana, tych samych, którzy byli świadkami Jego Przemienienia. Poszedł w głąb ogrodu. Tu rozpoznała się agonia. Jezus widział całą drogę krzyżową, ale również grzechy każdej poszczególnej duszy, które ma wziąć na siebie jako ofiarowany Baranek.

Pojmanie Jezusa nastąpiło około północy. Zarządzone zostało przez Sanhedryn; brał w nim udział oddział stróżów świątyni oraz żołnierze rzymskiej kohorty, służba arcykapłanów i członkowie Synedrium. Chrystus dobrowolnie oddał się w ich ręce. Kiedy Apostołowie ujrzeli Jezusa skrupowanego, uciekli. Żołnierze wrócili do Jeruzolimy i w nocy poprowadzili więźnia do pałacu arcykapłanów. Zaprowadzono Go wpierw przed Annasza, teścia Kajfasza. Był on słynny ze swej chytrych i nienawiści ku Chrystusowi. Nie był jednak kompetentnym sędzią i dlatego należało poprowadzić Jezusa przed Kajfasza. Był to człowiek dumny i bezwzględny. Zwołano naradę posiedzenie sądowe, co było całkiem sprzeczne z prawem. Proces przeprowadzono szybko z pomocą fałszywych zeznań i jawnego pogwałcenia prawa. Wyrok był jednomyślny: „Jezus jest winien śmierci”. W tej to okoliczności, wobec najwyższych kapłanów Jezus oświadczył, że jest Synem Bożym. To oświadczenie stało się przyczyną Jego śmierci. Umarł więc jako Syn Boży, a dzięki temu śmierć Jego nabiera nieskończonej wartości w oczach Boga Ojca.

Przez resztę nocy Jezus był ofiarą największych nadużyć ze strony otoczenia. A w całej tej ohydnej robocie przodowali sami radcy Sanhedrynu i wtórowali im dobrani przez nich służalcy. Podczas tych godzin również nastąpiło potrójne zaparcie się Piotra.

Judasz, który również poznał podłość swego czynu, zwątpił o swym zbawieniu i powiesił się.

Zgrzeszyli dwaj Apostołowie i obaj odczuli żal, lecz skrucha ich była odmienna. Piotr nie zwątpił o miłości Jezusa. Judasz rozpaczał i skończył samobójstwem.

Uroczysty wjazd Pana Jezusa do Jeruzolimy



Z rana zebrała się ponownie Wysoka Rada, aby nadać wyrokowi pozór legalności. Zaprowadzono Jezusa przed namiestnika rzymskiego Poncjusza Pilata. Wyrok śmierci musiał być bowiem zatwierdzony przez władzę Rzymian, którzy byli właściwymi panami kraju żydowskiego. Arcykapłani zataili właściwą przyczynę wyroku śmierci, gdyż w oczach Rzymian była ona bez znaczenia, ale oskarżyli Chrystusa o podburzanie ludu przeciw rządowi rzymskim.

Pilat w rozmowie z Jezusem doszedł do przekonania, że ma przed sobą człowieka niewinnego, raczej marzyciela religijnego niż buntownika. Wobec tego pragnął uchylić wyrok śmierci, lecz z drugiej strony bał się wzburzenia Sanhedrynu. Szukał więc sposobów, aby wyjść z przykłej sytuacji.

A. Sposób pierwszy. Posłał Jezusa do Heroda (syna Heroda Wielkiego), władcy Galilei. Lecz ten upokorzony przez Chrystusa odesłał Go do Pilata.

B. Sposób drugi. Barabas. Wybór między złoczyńcą a Jezusem nie dał skutku.

C. Sposób trzeci. Biczowanie. Okrutna ta kara polegała na bezlitosnym biczowaniu rzemiennymi, zaopatrzonymi w ostre haczyki, lub ołowiane kulki, biczami. Całe ciało zamieniało się w jedną okropną ranę, tak że nierzadko można było widzieć kości. Lecz lud żądał jeszcze śmierci, gdyż Jezus czynił się Synem Bożym, Pilat przestraszony groźbą apelacji do cesarza umył ręce i skazał Chrystusa na ukrzyżowanie.

Prawomocny wyrok zapadł. Była godzina 11 rano. Po naigrawaniu się żołnierstwa Chrystus w koronie cierniowej podjął krzyż. Pochód wyszedł z twierdzy Antonia i podążył w kierunku zachodnim przez dolne miasto, a opuściwszy je stanął na Golgocie. W pochodzie towarzyszyła Chrystusowi Matka Najśw., niewiasty i Szymon z Cyreny (miasto w północnej Afryce), który prawdopodobnie z okazji Paschy, znajdował się w Jerozolimie. Krzyż był prawdopodobnie z drzewa iglastego, mógł ważyć do 90 kg. Wysokość wynosiła około 3 m.

Każń krzyża była niewypowiedzianie straszna. Rany w rękach i nogach stopniowo powiększały się i zaogniały. Samo wyciągnięcie rąk przez długi czas wstrzymywało krążenie krwi, mięśnie naprężone utrudniały oddech. To wszystko, oraz żar słoneczny, pociągało za sobą ustawiczne pragnienie. Toż przeważnie przyspieszano śmierć skazańca łamiąc mu pod wieczór nogi. Jezus jednakowoż już skatowany poprzednio zmarł po trzech godzinach męki.

Chrystus przybity do krzyża pragnie wszystkich bez wyjątku pociągnąć do swego liściwego serca, wszystkim udzielić łaski i owoców zbawienia. Jego 7 słów wypowiedzianych na krzyżu jest tym krótkim, ale wymownym kazaniem, które przez całe wieki będzie najdroższym skarbem jego uczniów. Po dzień dzisiejszy Chrystus przemawia do każdego z nas z krzyża. Tam Go możemy jedynie pojąć i ukochać. Śmierć nastąpiła o godz. 3. O 5 zdjęto zwłoki z krzyża i dzięki staraniom Józefa z Arymatei złożono do nowego grobu. Owinęli ciało opaskami, nasypali mirry i aloesu (około 30 kg), by jak najdłużej zapobiec rozkładowi.

Wiść o przyzwoitym pochowaniu zwłok obudziła obawy wśród wrogów. Dostali więc straż do rozporządzenia, która miała czuwać u grobu, a ponad kamieniem, którym przywalono grób, przeciągnięto sznur i jego końce przymocowano pieczęcią, tak że każde otwarcie grobu zerwałoby sznur i naruszyło pieczęcie.

Grób ten, który był w pierwszym momencie świadkiem śmiertelnej niemocy Jezusa, stał się również początkiem Jego potęgi i chwały.

J. K.



Zdarzyło się kiedyś w Judei, podczas gdy uparci faryzeusze i uczeni żydowscy bluźnili i nie chcieli uznać Jezusa Mesjaszem, a Jego czyny przypisywali mocy szatańskiej, że lud prosty zdrowo osądził całą działalność i naukę Zbawiciela. Wyrazem takiego samorządnego uwielbienia ludu, są słowa wieśniaczki, o której wspomina św. Łukasz. Nie umiejąc lepiej wyrazić podziwu swego dla Jezusa, nazywa błogosławioną Jego Matkę. (Łk. 11, 27—28).

Chrystus potwierdza wyznanie wieśniaczki i jeszcze je uzupełnia, nazywając błogosławionymi tych także, którzy słuchają Go i do rad Jego się stosują. Więcej nawet: ci są dla Niego i matką i braćmi i siostrami, są tak bliscy Mu przez wspólną ideologię, wspólny pogląd na Boga sprawy (Mt. 12, 46—50; Mr. 3, 31—35; Łk. 8, 19—21).

Uczeni żydowscy widząc, że coraz więcej ludzi przychodzi do Jezusa i że mówiących zwłaszcza ma do Niego wielkie zaufanie oświadcza, że i oni uznają Go za mesjasza, jeżeli uczyni na ich życzenie coś niezwykłego, ot np. jakiś cud. (Mt. 12, 38—45). Odpowiedział im Jezus: „rodzaj zły i cudzołozny znaku szuka: a nie otrzyma innego, jak tylko znak Jonasza proroka”. (Łk. 11, 29—36). Bóg zawarł z Izraelitami jakby duchowy związek małżeński. Obiecał wyjątkową otaczać ich opieką. Żydzi jednak ze swej strony wiary nie dochowali, nie stosowali się do zaleceń Bożych, czynili dzieła szatańskie (Jan 8, 44), wysłańcami Bożymi gardzili: jednym słowem stali się wiarołomnymi. Domagają się cudu, ale życzeniom ich nie stanie się obecnie zadość. Z czasem będą światkami znaku niezwykłego, którego typem był wypadek Jonasza proroka.

Oczywiście ta wypowiedź Jezusa nie przesądza historyczności opowiadania o Jonaszu. Jezus powołuje się jedynie na relację biblijną, wg której Jonasz przez trzy doby znajdował się we wnętrzu ciach potwora morskiego, a później wy dostał się na brzeg morski. Niniwici, na wiadomość o tym co przydarzyło się Jonaszowi, w poście i w popiele za grzechy swoje żalowali, Izraelici przeciwnie: choć będą świadkami chwalebego zmartwychwstania — to jednak nie zastosują się do nauki Jezusa. Dlatego Niniwici będą świadkami przeciwko Izraelitom, gdyż na głos Jezusa pokutowali, a ci nawet same-

Refleksje Piotra



.....Dziękuję Ci, Jezu, za zbawienie mej duszy”

Lud za Jezusem -kapłani przeciw

go mesjasza nie chcą słuchać, cudami Jego gardzą i nowych się domagają.

Również królowa Saba będzie świadkiem wyroku potępiającego Żydów. Ta bowiem opuściła swe królestwo, przybyła do Jerozolimy, aby słyszeć i podziwiać Salomona, Żydzi zaś mają między sobą więcej niż Salomona, bo mesjasza, a jednak Nim gardzą. Świeca i oko dopełniają obrazowo nauki Jezusa.

Od wieków nurtuje człowieka pytanie: jaka będzie ilość zbawionych? To zagadnienie nie było obce także Izraelitom, dlatego postanowili zapytać o to Jezusa.

Jezus zamiast odpowiedzieć zachęca swych słuchaczy od życia cnotliwego. Droga do nieba jest nader wąska i śliska, każdy kto po niej kroczy, musi ciągle



Modlitwa w Ogrójcu

mieć się na baczności, aby nie stoczyć się do przepaści. Wejście do nieba jest również ciasne — tylko ludzie zmartwień, zaparci i wierni — bramę niebieską przestąpią. (Łk. 13, 23—30). Kto za życia do niej nie kołaczę — ten po śmierci przez nią nie przejdzie. Wielu po śmierci wprawdzie będzie pragnąć dostać się do nieba, ale pragnieniom ich nie stanie się zadość.

Jezus porównuje szczęśliwość świętych w niebie z uczcią. Gospodarz domu na czas przybycia gości otwiera drzwi i czeka gdy zaproszeni się zbiorą wtedy zamyka dom i gości swych podejmuje. Podobnie będzie i w niebie. Gdy zbiorą się ci wszyscy, którzy żyli cnotliwie — wtedy zamknie Bóg wejście i przewrotni zostaną na zewnątrz. Będą się dobijać i przypominać swe rzekome dobre czyny, ale usłyszą odpowiedź: „nie znam was”.

Pod obrazem niewpuszczonych na ucztę mówi Jezus o Izraelitach upartych, nie chcących Go uznać za prawdziwego mesjasza.

Miejsce Żydów odrzuconych zajmą poganie, którzy ze wszystkich stron podążają do Kościoła. I stanie się, że ostatni, najpóźniej powołani zajmą miejsce pierwszych. Wiary więc i czynów potrzeba, a nie pochodzenia od Abrahama i uporu.

Wszystkie te odpowiedzi Jezusa przypominają faryzeuszów i kapłanów o gniew. Od tej chwili szukać będą sposobności aby stracić niewygodnego Syna cieśli z Nazaretu, nie wiedząc w zaślepieniu, że tracą Syna Bożego. Dlatego zawoła Jezus na krzyżu do Ojca: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią”.

Ks. A. N.



JÓZEF BARANOWSKI

HOSANNA

„I przywiedli oslicę z osłębieniem i wiozli na nie szaty swoje, a jego posadzili na niej... (Sw. Mat. 20.7).”

I

*Klaniajcie się lasy,
Niebotyczne góry,
Bałwany morskie o spienionej grzywie!
Rozszum się wicherze!
Rozstąpcie się chmury!
Bo oto idzie
Jezus z Nazaretu —
Syn sprawiedliwy!*

*„Hosanna!
Błogosławiony, który idzie w imię
Pańskie”*

*Hosanna!
Wolali wśród bram Jeruzalem.
Scieląc pod Jego stopy
Barwne szaty
Wspaniałe,
Palmy i kwiaty,
Wiotkie gałązki zieleniejących drzew.
W radosnych okrzykach tłumu —
Radosne wiwaty
I śpiew.*

*Idą mieszkańcy Ofelu,
Idą saduceusze i faryzeusze
Z dala od tłumu...
Widokiem zniecierpliwieni,
Tryumfem miasta przerażeni.*

2

*Ni palm żądał wspaniałych
Ni zgiełkliwej radości.
Pragnął tylko zawile
Ścieżki wszystkim uprościć.*

*Ból zniweczyc i rozpacz,
Ludzkie kość cierpienia,
Ludzkie serca pocieszać
Cudem przebaczenia.*

*I objął smutnym wzrokiem
Miasta słoneczne oddale —
„Ty pierwsze na śmierć mnie wydasz,
Jeruzalem!”*

Czteroletnia Jadżka była żywą, inteligentną dziewczynką. W jej kąci przy oknie spora ilość książeczek z obrazkami ułożona była zawsze starannie (robiła to sama) zaś zabawki, „gdy jej wpadło coś do główki”, jak mawiała matka, ocierała również starannie z kurzu i rozstawiała tak, by „lis nie zjadł kury”, a tygrys „nie rzucił się na jagniątko”. Zabawki swe Jadżka brała do rączki rzadko. Pociągały ją natomiast książeczki, a zwłaszcza zawarte w nich obrazki. Lubiła się w nie wpatrywać a wówczas przez niebieskie oczęta przewijały się różne wrażenia. Prosiła aż do znudzenia:

— Mamusiu, poczytaj, poczytaj...

Mamusia czytała, tuląc do siebie rozciekawione dziecko, bo Jadżka zaraz wdrapywała się na kolana. Tatusz też czytał, trochę tylko mniej chętnie. Niekiedy Jadżka poprawiała (miała na pamięć swoje bajki).

— Tatusi! To nie czerwony kapturek się psebrał, to wilk! Opuścicieś...

Wprawiała też ojca swymi pytaniami niekiedy w zakłopotanie.

— A dlaczego, jak ja idę, to księżyc też idzie?

U babci znajdowały się na komódce motylki z drogocennej porcelany. Nie wolno tego było brać do ręki. Po przyjsciu, Jadżka podbiegała ku nim natychmiast.

— Wolno, babciu? — i zstawia jednego.

— Nie wolno!

— Wolno, babciu? — zstawia drugiego...

Babcia mawiała:

— Nieustępliwa. Chyba będzie despotką. Ale ma charakter.

W świecie Jadżki zjawiał się malutki, rozkrzyczany przybysz — braciszek.

Przez pierwsze tygodnie Jadżka nie odstępowała bra-

ciszka na krok. Zdawała się na razie nie zauważać, że mamusia nie czytywała jej już bajek, bo nie miała czasu i że niemal całą matczyną czułość zagarnął mały braciszek. Z tatusiem było to samo. Po przyjsciu do domu najpierw podchodził do łóżeczka, gdzie małe boba uśmiechało się już do niego. Jakby zapomniał o ramionkach Jadżki, chętnie ogarniających szyję tatusia.

Ciotki z babcia na punkcie małego Januszka szalały. Zachwytem nie było końca. Rzadko na ich kolanach znajdowało się teraz miejsce dla Jadżki — zajął je Januszek, fajtający śmiesznie swymi tłustymi nóżkami.

I — duże, wyraziste, błękitne oczy Jadżki nabrały smutku. Lecz nie zauważono tego.

Jadżka teraz o wiele mniej interesowała się braciszkiem. Przestała do niego podbiegać, przemawiać pieśzczołtliwymi wyrazami matki i ciotek. Wokół drobnych ust pojawił się rys jakby zaciętości. Nieoczekiwanie stała się nieposłuszna, hałaśliwa. Wystarczyło powiedzieć: „Zachowuj się cicho, Januszek śpi”, aby natychmiast tupnęła nogą lub trzasnęła drzwiami. Dokuwała braciszкови także i w inny sposób — pociągnięciem za rączkę, bolesnym uszczypnięciem.

Matka coraz bardziej narzekała na córeczkę. „Co się z tym dzieckiem stało? Zmieniła się do niepoznania. Nie mogę sobie z nią dać rady”. I — poszły w ruch klapsy, różgi, raz ojcowski pasek. Nie pomogło. (Pas ojcowski Jadżka rzucała za wannę, szukano go długo).

Jadżka poszła do przedszkola. Kontakt z dziećmi nie zmienił ją, wracała ta sama, podrapana niekiedy w jakichś dzieciennych małych bójkach.

Starsi nie wiedzieli nic o tym, że Jadżka w ten sposób walczyła o uczucie. Przekorą i wybrzykami. Aby znów zwrócić uwagę na siebie... Osamotnienie w jakim się znalazła, rozumiane na sposób dziecięcy w dziecięcym światku, musiało ją boleć...

Niechęć do braciszka wzrastała i ujawniała się pewnego dnia w sposób, który mógłby się stać tragiczny.

Matka, wszedłszy do pokoju, trafiła na moment, kiedy Jadżka, stojąc przy otwartym oknie drugiego piętra i dźwigając z wysiłkiem niemowlę, które wyciągnęła z łóżeczka, próbowała je położyć na parapet. Przerażona matka z krzykiem schwyciła niemowlę w ramiona.

Dziewczynka, nieco przestraszona, płacząc, powiedziała:

— Chciałam... braciszka... wyrzucić... przez okno...

W jakiś czas potem będąc w przejeździe, zjawił się z niespodziewanymi odwiedzinami przyjaciel ojca. Piotr, lekarz psycholog. Jadżka otworzyła mu drzwi.

— Śliczną masz dziewczynkę, Janie — powiedział Piotr — podobna do ciebie uderzająco. — Potem rozmowa potoczyła się dalej. Matka szczerze opowiedziała wszystko.

Piotr zamyślił się, a potem równie szczerze rzekł:

— ...Gdyby mamusia próbowała nad zmianą zaszła u córeczki zastanowić się, pomyśleć, może by doszła do wniosku, że zmiana ta powstała z dość prostej przyczyny, czyli — nie można, nie wolno kochać jedno dziecko mniej, drugie więcej. Uczucia macierzyńskie należy rozdzielać jednakowo, gdyż — **ma ł e s e r c e c i e r p i**. Nieraz — bardzo boleśnie.

E. DRZEWUSKA

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI

CZY WIESZ, ŻE:

Kościół Polskokatolicki jest Kościołem Katolickim. Posiada wszelkie znamiona Kościoła Chrystusowego.

DLACZEGO POLSKI I KATOLICKI?

Kościół Polskokatolicki prowadzi wiernych do Boga i posługuje się w liturgii zrozumiałym dla nich językiem polskim.

Zachowując naukę Jezusa Chrystusa (zawartą w Piśmie św., Tradycji oraz orzeczeniach i uchwa-

lach Soborów Powszechnych), cześć Najświętszą Maryję Pannę i Świętych Pańskich, uczy swych wiernych miłości do Boga, szacunku dla bliźnich i ukochania Ojczyzny.

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI JEST KOŚCIOŁEM APOSTOLSKIM:

Biskupi Kościoła Polskokatolickiego mają ważną sukcesję apostołską, której nie kwestionują nawet najbardziej zagorzali i fanatyczni duchowni rzymskokatolicy. Z ważności i prawdziwości sakry biskupiej w Kościele Polskokatolickim wypływa ważność kapłaństwa.

Msza św. w języku polskim i Sakramenty św. są tak samo ważne jak Msza św. odprawiana w języku łacińskim, greckim lub koptyjskim.

NA CZYM POLEGA RÓŻNICA?

Różnica polega na tym, że Kościół Polskokatolicki odrzuca dogmat o nieomyślności papieża i prymacie jurysdykcyjnym biskupów rzymskich. Tylko Bóg jest nieomyślny. Człowiek, również papież, może się mylić.

PODZIAŁ KOŚCIOŁA

Kościół Polskokatolicki w PRL dzieli się pod względem administracyjnym na:

a) Archidiecezję Warszawską.

b) Diecezję Wrocławską,

c) Diecezję Krakowską.

Najwyższym zwierzchnikiem Kościoła Polskokatolickiego jest Prymas — J. Em. Ks. Biskup Prof. Dr Maksymilian Rode, rezydujący w Warszawie.

STOSUNEK DO RUCHU EKUMENICZNEGO:

Kościół Polskokatolicki jest członkiem Światowej Rady Kościołów Chrześcijańskich, która skupia w swych szeregach ponad 400 milionów chrześcijan, a więc tyle, ile liczy Kościół rzymskokatolicki razem z obrządkami nierzymskimi na całym świecie.

P. GIEŁŻYŃSKIEMU Z „DOOKOŁA ŚWIATA”...

Z dowcipem i pod publiczność można kpić z najświętszych uczuć. Można z bohatera zrobić włóczęgę i zawsze znajdzie się dość argumentów, żeby to „udowodnić”.

W 12 (430) numerze „Dookoła Świata” z dn. 25 marca br. zamieszczony został artykuł p. Wojciecha Giełżyńskiego „100 wcieleń księdza biskupa”. Na okładce, podając spis ważniejszych artykułów, redakcja wysła czytelnikom naprzeciw z reklamą: „Oszust z pastorałem”.

Nie interesuje nas biskup Kupski. Na pewno fakty przytoczone przez autora „100 wcieleń”... pozostaną faktami. Jednakże między wierszami czytamy różne sformułowania, którymi czujemy się dotknięci. Jesteśmy zalegalizowanym wyznaniem i niektóre sformułowania p. Giełżyńskiego wydają nam się (czy aby tylko wydają) wysoce niewłaściwe i obrażające. Co np. autor sądzi o takim sformułowaniu:

„Jako wyróżniającego się alumna biskup Szlęzak polecił go (Kupskiego przyp. nasz) Zgromadzeniu Zakonnemu „Małe Dzieło Boskiej Opatrzności” w Rzymie. Zakon ów przygotowywał misjonarzy, lecz ten ryzykowny rodzaj kariery nie nęcił bynajmniej ambitnego młodziana. Przystał tedy ochoczo na propozycję ks. Kędzierskiego dotyczącą przejścia na łono Polskiego Kościoła Narodowego, trudno określić, czy na decyzji tej bardziej zaważyły względy teologiczne, czy perspektywa wyjazdu na intratną parafię Plymouth do Stanów Zjednoczonych. W każdym razie dobrze zapowiadający się kaznodzieja pociągnął szlakiem Kolumba pod skrzydła biskupa Hodura.

Wkrótce jednak Eugeniuszowi opadło z oczu bielmo. (sic! — przyp. nasz)”.

„...Juliusz Cezar powiedział, że wolałby być pierwszym w byle Klaju, niż drugim w Rzymie”.

Lub:

„Rozżalony biskup porzucił całkiem swój stan duchowny i rozpoczął uczciwą pracę świecką”.

I dalej:

„Ale jak natura ciągnie wilka do lasu, tak biskupa do pieniędzy”.

Itd... itd..

Czy istotnie uważa pan, p. Giełżyński, że to są niezbyt mocne sformułowania i że tylko dotyczy bpa Kupskiego?

A poza tym... Można się znać na tym i owym, na burakach i margarynie, ale niekoniecznie trzeba znać się na teologii i liturgii. Zresztą w jednej z odpowiedzi pan autor odpowiada ustami księdza biskupa, że podczas mszy potrzebna jest: komża, stuła, kielich, itd., itd.

Najpierw nie komża ale alba, a po wtóre o wiele więcej akcesoriów.

W przyszłości proponujemy zachować umiar i odzegnać się od sformułowań wysoce niewłaściwych i... obrażających.



Z WARSZAWY do BOLESŁAWIA

W TRZYNAŚCIE GODZIN

Czy wiecie jak długo trzeba jechać z Warszawy do Bolesławia?

— Cztery godziny, zimą może pięć.

— A ja wam oświadczam, że aż trzynaście godzin. Nie wierzyście? Postuchajcie:

Przed piątą rano wyruszył

autobus z ulicy Szwoleżerów wioząc księży, studentów ChAT i WSD, wyznawców Kościoła Polskokatolickiego. Za Warszawą zaczęły się niespodzianki. Śnieg zasypał jezdnię. Autobus grzązł raz po razie w śniegu. Kilkakrotnie powtarzała się „opera-

cja” popychania autobusu, który groźnie warczał, sapał, prychał i ześlizgiwał się w dół po zaśnieżonej jezdni. Kosztowało to wiele wysiłku, energii i silnej woli. Próbowano nawet lansować myśl o powrocie do Warszawy z połowy drogi. Ale studenci jechali, aby

wystawić „Misterium Męki Pańskiej” mieszkańcom Bolesławia. Marcowy śnieg nie pokrzyżował planów. „Misterium” wykonano. Na następnej stronie — sceny z „Misterium”.

Fot. KURULISZWILI





BR. GÓRALIK – BOŻANOWSKI

M O D L I T W A do C H R Y S T U S A U K R Z Y Ż O W A N E G O

Chociaż z krzyża patrzysz na mnie,
Jednak wzroku nie podnoszę.
Zsyłasz światło w mroki ciemne,
A ja wciąż o światło proszę.

Chociaż dłoń wyciągasz do mnie,
By mnie dźwignąć z win przeklętych
A ja jak cmentarny kamień,
Serce chłodem mani zamknięte.

Otwórz je potężnym dzwonem,
Bym Cię przyjął i czcił w hymnie,
Jak otwierasz jasną łuną
Niebo ciężkie zachmurzone...
– Otwórz – i pozostań przy mnie.

1962 r.



KS. DR LEONARD ŚWIDERSKI WSPOMINA

Jak wyglądają oskarżenia wytaczone przez władze kościelne? (rymskokatolickie). Na dowód ks. dr Świdorski przytacza dokumenty autentyczne:

Protokoł zeznania ks. Z... Wikariusza w P... w przedmiocie zatargu z ks. W... proboszczem...

Pragnę oskarżyć siebie samego. Na plebanii w G... przebywa od niedawna rodzona siostra ks. proboszcza, wdowa po poruczniku, lat około 30... pani J... Pomiędzy nią a mną wywiązała się znajomość, dzięki której niekiedy rozmawialiśmy ze sobą w cztery oczy, dwa razy nawet byliśmy na spacerze, ale żadnych poufałości między nami nie było. Nietakt mój polegał na niedostatecznym liczeniu się z opinią publiczną.

Osoba ta mniej więcej miesiąc temu musiała opuścić parafię, gdyż ks. W... w sposób oczywisty parł do tego, by wyzbywszy się rodziny własnej, dać większą swobodę dawnej swej gospodyni, niejakiej Jadwidze K.

Rodzina ta składała się z następujących osób. T... żony kościelnego, a rodzonej siostry Jadwigi, lat około 40, jej córki Lilli lat 16—18, córki drugiej siostry — Jadwigi lat 17—18. Zaznaczyć trzeba, że Lilli publicznie mianuje się „siostrzenicą” ks. W..., jego zowią „wujkiem” (świadek ojciec ks. Z...).

Stosunek proboszcza do pań jest poufały. Kilka dni temu, z polecenia proboszcza oświadczył mi organista p. M..., że ks. kanonik uważa księdza za jeszcze większego szpiega, niż jest ks. R...

Zgodnie z naszą zapowiedzią, dzisiaj przyłączamy dalsze fragmenty „Wspomnień” ks. dr Leonarda Świdorskiego, b. kanclerza kieleckiej Kurii biskupiej, który przed rokiem rozstał się z hierarchią rzymskokatolicką, podając w publikowanym m. in. przez „Rodzinę” liście, adresowanym do kardynała Stefana Wyszyńskiego, przyczyną dla których zerwał z tym środowiskiem

W ślad za tym, wczoraj pokazywał ks. W. ks. R... napisane na maszynie zeznanie pewnych świadków przeciw mnie, jak mnie widziano w sytuacji bardzo kompromitującej. Ks. W... oskarża mnie o pecasta contra sexum (przeciw płci), twierdzi, że ma świadków sub iuramento (pod przysięgą). To mi powtórzył ks. R...

Przy tej sposobności, żeby rzucić światło na metody postępowania ks. W... pragnę dodać: że siostra jego J... oświadczyła co następuje:

Sławny list ks. R... do ks. kanclerza, który stał się przedmiotem późniejszych oskarżeń i dochodzeń został de facto przez ks. W... wykradzony osobiście z biurka przy pomocy dorobionego klucza. Dopiero później dla symulacji ks. W... ubrudził ten list, względnie jego brulion czy kopię, że wyglądał na wydobyty z... ustępu. Też J. twierdzi, że ks. W... umyślnie sprawdził z J... niejakiego K..., który nie miał absolutnie nic wspólnego z ks. R... i nie znał ks. kanclerza, polecając mu podpisać zeznanie przeciw ks. R... Gdy on i jemu podobni nie chcieli podpisów tych położyć pod z góry spreparowanymi relacjami, twierdząc, że nie mogą na to przysiąc — ks. W... powiedział, że bierze to na swoje sumienie...

Pani J... mówiła też, że ponieważ K... nigdy nie widział ks. kanclerza na oczy, ks. W... wysłał go umyślnie do Kielc pod pretekstem doręczenia listu ks. D..., ażeby tam w Kurii przyjrzał się postaci księdza kanclerza. Widocznie było to do czegoś potrzebne.

Mówiła mi na koniec, że siostra jej i ks. W... pozostawali w stosunkach finansowych. Marta (siostra J...) pisała ostatnio list w którym przytacza dosłownie tekst pisma skierowanego do niej przez ks. W... Z listu tego wynika, że ks. W... przysłała co miesiąc Jadźce pieniądze, pochodzące ze źródeł caritasowych. [Jadźka — to imię dawnej gospodyni ks. W...]

Obrzydzenie bierze, kiedy czyta się autentyczne wspomnienia ks. Świdorskiego. Zasluga Autora jest, że bez osłonek obnaża nić i upadek księży rzymskokatolickich.

(Opracował A. Kl.)

SPRAWY DNIA dzisiejszego

BEZMYŚLNOŚĆ BIUROKRATÓW SĄDOWYCH

Cytujemy autentyczny fakt, który zaszedł w niewielkim miasteczku, które nazywa się Wołomin i leży daleko, bo zaledwie 16 km od Warszawy. To co się tam stało jest bezprzykładnym dowodem tępoty biurokratycznej, bezduszności i zgola bezmyślności administracyjnej.

Pewnego dnia Wydział Finansowy w Wołominie obłożył grzywną około 30 wiejskich kobiet, trudniących się nielegalnym handlem kwiatami. Grzywny były stosunkowo niewysokie. Po 20, 30 zł. Naczelnik tego urzędu doszedł do wniosku, że ściąganie należonych grzywien napotyka na poważne trudności. Skorzystał więc z odpowiedniego przepisu Ustawy Karno-Sądowej, wydał postanowienie o zamianie należonych kar na karę aresztu. Wpadało po jeden, dwa dni pozbawienia wolności.

Prezes Sądu Powiatowego w Wołominie, czyniąc zadość formalnym żądaniom owego naczelnika, zatwierdził owe 30 orzeczeń, okiem nie mrugnawszy. Delikwentkom wysłano nakazy stawienia się, celem odbycia kary w Warszawie, w więzieniu nr III. Ponieważ żadna z nich nie zastukała w nakazany czas do bramy więziennej, obowiązek doprowadzenia opornych spadł na barki Milicji Obywatelskiej.

Nie wiem — pisze Zbigniew Łakomski — ilu milicjantów zostało wydelegowanych do uganiania

się wśród wiejskich oplotków za trzydziestoma kobietami. Musiało ich być co najmniej kilku, jeśli potrafili uformować cały transport i dostawić go do Warszawy.

Tu każdą niewiastę wyszorowano, wymyto, tę i ową — przepaszam — oduszono. Zbadano dokładnie każdej założoną kartotekę, składającą się co najmniej z czterech gęsto porubrykowanych kartek. Nakarmiono aresztantki, wydano pościel i przyszedł czas pożegnania... Ponieważ większość nie miała przy sobie grosza, każdy wypisano gratisowy bilet kolejowy do miejsca zamieszkania.

Nie proszę państwa. Tu nie ma się z czego śmiać. Ta farsa — pisze Zb. Łakomski na łamach warszawskiej „Trybuny Ludu” — została odegrana ze śmiertelną powagą, na tle papierowej dekoracji Ustawy Karno-Skarbowej. Co gorsza — realizatorzy tego popisu zdradzają tendencję do tiszowania — istnieje więc obawa, że zechcą bawić się dalej.

A przecież truizmem byłoby stwierdzenie, że całą sprawę można było załatwić inaczej.

— Gdyby każdej babie zająć kurę — ktoś podpowiada — sprawa zostałaby od ręki załatwiona.

Na marginesie tej sprawy, zajmuje stanowisko również i organ Zrzeszenia Prawników Polskich „Prawo i Życie” — pisząc:

„Ratunku! Nie dajmy się zwariować! Albo zajmować kury, albo sadzać na kilka dni w jakichś aresztach gromadzkich, które trzeba co prędzej stworzyć. Tam się obejdzie bez kosztownych manipulacji więziennych. Jedzenie doniesie babce mąż lub córka i cała rzecz odbędzie się prosto, choć mniej uroczystie.”

Doprawdy człowiek oczy przeciera ze zdziwienia, czytając su-

gestie tworzenia aresztów gromadzkich. Ileż wreszcie, u licha, ma być w Polsce więzień i aresztów? Przecież przy każdym posterunku MO istnieje areszt tymczasowy. Okratowany z umocnionymi drzwiami. Po co mnożyć jeszcze areszty gromadzkie? Po co w każdej wsi uruchamiać areszt? Doprawdy na głowę musiała niania spuścić w dzieciństwie tego osobliwego „prawnika” z „Prawa i Życia”, reprezentującego linię więziennej twórczości.

Wypadek wołomiński szerokim echem odezwał się w kołach sądowych, adwokackich, w aparacie Ministerstwa Sprawiedliwości i Min. Finansów. Bezдушna biurokracja administracyjno-sądowa dopuściła się głupstwa, chociaż jak to się mówi działała w majestacie prawa. Prawo prawem. Istnieje w praworządnym państwie cały szereg przepisów, umożliwiających bezbolesne ściąganie należnych grzywien porządkowych. Grzywny takie mają charakter upominający, reflektujący obywatela. I to było założeniem ustawodawcy, przy ustalaniu tej kategorii przepisów. Dopiero w miarę nieściągalności grzywny może być ona zamieniona na areszt. Ale pozbawienie wolności człowieka, w naszej rzeczywistości jest szczególnie surową karą. Dlatego nim ktokolwiek orzeknie: marsz za kraty — trzeba wnikliwie, po ludzku, po gospodarczemu sprawę rozpatrzyć.

Według mojego poglądu — wołomińskie organa skarbowe nie wykorzystwały wszystkich możliwości ściągnięcia grzywny. I to zaciążyło na opisywanym wydarzeniu, które nie powinno się powtórzyć.



Jeszcze kwiaty nie kwitną. Jeszcze słodyczy marcowe. Lecz coś srebroży się w słońcu. To gałązki palmowe...

Na pamiątkę palmowej Przedwiosennej niedzieli. Więc tym słonkiem, palmami. Cały świat się weseli.

Jak kiedyś — gdy palmami Witali Ciebie Chryste. Cóż z tego, gdy koronę Dali Tobie ciernistą

I na śmierć, jak okrutną I męczeńską wydali Ci sami, którzy królem Wpierz Ciebie obwołali.

W dzień palmowej niedzieli Niech modlitwą rozważam Twoją drogę męczeńską U stóp Twego ołtarza.

Ponad którym krzyż-symbol Cierpienia i miłości Niech jak najczęściej Chrystus W twym sercu zagości.

W

ub. roku na łamach „Rodziny” pisaliśmy o wielkim filozofie, muzyku, który napisał wspaniałe dzieło o Janie Sebastianie Bachu. Pisaliśmy właśnie o doktorze Albercie Schweitzerze, który niedawno wkroczył w 87 rok życia, i w dalszym ciągu mieszka w Lambarene, w Afryce Zachodniej, gdzie jest kierownikiem założonego przez siebie szpitala.

Dewizą życiową tego wielkiego humanisty, który nazywany jest: „Trzynastym Apostołem” — było pragnienie przejścia przez życie, nie odczuwając znudzenia, w czym widział tajemnicę powodzenia.

Od dziecka wychowany w atmosferze głęboko chrześcijańskiej, już jako uczeń gimnazjalny Schweitzer uwiedziony został harmonią muzyki. Jej dźwięki sprawiły mu nieopisaną rozkosz. Odtąd fisharmonia, a następnie organy, a później pianino stają się jego pasją życiową. A pasji tych młody Albert Schweitzer miał niemało. Rzuca się w wir studiów akademickich. Żarliwie studiuje filozofię na uniwersytecie w Strasburgu, gdzie praca o systemie filozoficznym Kanta przynosi mu pierwszy doktorat. Studiuje dalej teologię i zostaje wikarym w kościele protestanckim w Strasburgu. Później studiuje teorię muzyki. Ten tytan pracy ma czas, aby obok studiów, uprawiać zawód organisty, któremu do dnia dzisiejszego został wierny. W 26 roku życia, Schweitzer jest posiadaczem trzech doktoratów: filozofii, teologii i muzykologii. Zostaje docentem na uniwersytecie w Strasburgu. W 30 roku życia pisze niezrównaną biografię ukochanego przez siebie mistrza Bacha, dzieło stanowiące fundament orientacyjny i komentarz niezrównany do twórczości wielkiego muzyka. Schweitzerowi nieobce są i inne tematy. Jego ruchliwy umysł przerzuca się z problemów religijnych, do społeczno-etycznych, znów wraca do problematyki religijnej, owocem której jest studium badawcze o św. Pawle.

Niezrównany w swych zainteresowaniach, Schweitzer zwykł był mówić — przed I wojną światową: „Berlin lubię, w Paryżu i we Francji chętnie bawię się”.

Urodzony w 1875 roku młodym był Schweitzer w okresie przed 1914 rokiem. Ale kiedy wojna skończyła się i rodzinna Alzacja powróciła do Francji, dr Schweitzer — jako Nie-

NAGRODA SZLACHETNYCH „PRIX SCHWEITZER”

mieć został osadzony w obozie dla internowanych, gdzie spędził ponad 10 miesięcy. Poniewierany, dyskryminowany. Ten człowiek, jednak dobrze mówiący po francusku jak i po niemiecku, kiedy pytali go jego dręczyciele gajijscy kim jest odpowiedział „HOMO SUM” — jestem Człowiekiem.

I tam, w obozie, dojrzała w prześladowanym młodym uczonym myśl oddania się studiom lekarskim, osiedlenia się w Afryce, nie w charakterze misjonarza, ale w charakterze lekarza, niosącego najnowsze zdobycze współczesnej medycyny dla podniesienia zdrowotności ludności Czarnego Łądu, dziesiątkowanej najrozmaitszymi chorobami. I osiadł w Afryce, tej Afryce, która uwiiodła go nie tylko pomnikiem Murzyna, skutego łańcuchami (twórcą tej rzeźby był Bartoldi — twórca statuy Wolności), ale świadomością potrzeby włączenia się w codzienny nurt życia dyskryminowanych Murzynów, podnoszenia ich człowieczeństwa, humanizowania tych, którzy bezlitośnie eksploatowali Czarny Łąd i jego mieszkańców.

Tam w Lambarene, dosłownie z niczego, tworzy szpital. Tutaj realizuje swoją filozofię życiową, którą nazywa: p o s z a n o w a n i e ż y c i a. Swoją benedyktyńską, chrześcijańską postawą i niezmordowaną pracą, zyskuje sławę wszechświatową. Nie dyskontuje jej dla siebie — ale dla dzieła, którego jest Twórcą i które stanowi treść Jego życia. Z dalekiej Afryki, głos Schweitzera słyhać, ilekroć w zasięgu zainteresowań ludzkości znajdują się zagadnienia lepszego jej jutra, ochrony przed zagładą. Schweitzer występuje jako zdecydowany miłośnik pokoju, gorący orędownik powszechnej sprawiedliwości, zrównania wszystkich „dzieci bożych”, bez względu na kolor skóry, rasę, narodowość i system wiary osobistej. Tę jego postawę i sukcesy kwitują różne uczelnie przyznaniem Mu najwyższych godności — tytułów „Doktora Honoris Causa”. Wreszcie dr Albert Schweitzer otrzymuje najwyższy laur — Nagrodę Pokojową Nobla. Jest to 1952 rok. Rok postrachu atomowego.

Ten sędziwy uczy — a nade wszystko Człowiek — niezmordowanie pracuje po dziś dzień. Pracuje w dzień, a nocami pisze i skarży się, że doba jest „tak krótka”, gdyż nie jest w stanie załatwić bieżącej korespondencji, z którą zalega od kilku miesięcy.

Dzisiaj, kiedy na świecie szerzy się i panoszy brutalna siła, kiedy widmo masowego unicestwienia, przy pomocy broni nuklearnej stoi przed ludzkością, garść przyjaciół francuskich doktora Schweitzera — w uznaniu Jego humanistycznych zasług ufundowała „Prix Schweitzer” — międzynarodową nagrodę literacką właśnie Jego imienia. Nagroda dla tych twórców, których dzieła mają na celu obronę pokoju i obnażają cały absurd i grozę wojny, budząc współczucie dla jej ofiar.

Nagroda jest przyznawana corocznie. W bieżącym roku otrzymała ją Edita Morris, pisarka amerykańska (która zresztą była kilka razy w Polsce). Nagrodzona książka pt. „Kwiaty Hiroszimy” jest tragiczną opowieścią o „ludziach radioaktywnych”, będących ofiarami nalotu amerykańskiego na Hiroszimę w 1945 roku, gdzie od eksplozji bomby atomowej zginęły setki tysięcy ludzi. Opis męczarni chorujących, dogorywających, dyskryminowanych nawet w społeczeństwie japońskim, które zarażonych radioaktywnością — traktuje jak trędowatych — jest tragiczny w swej osnowie. I dlatego książka Edity Morris, przepojona duchem umiłowania człowieka, i duchem walki z bombą atomową — jest dziełem, które uznane zostało za godne nagrody imienia wielkiego humanisty Alberta Schweitzera.

Nagroda jest tym bardziej uzasadniona, że Edita Morris wraz ze swym mężem, również amerykańskim pisarzem — Ira Morrisem jest fundatorką stałego szpitala-przysłuchu w Hiroszimie dla dotkniętych chorobą atomową. Ta fundacja pp. Morrisowie chcą chociaż w części okupić amerykańską zbrodnię, popełnioną w 1945 roku na bezbronnej ludności Hiroszimy.

(A. O)

110 ROCZNICA URODZIK LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO (1852 — 1936)

11 kwietnia 1962 r. mija 110 rocznica urodzin Leona Wyczółkowskiego, wybitnego i utalentowanego malarza.

Wyczółkowski urodził się w okolicach Garwolina, w rodzinie szlacheckiej. Dzieciństwo spędził w domu, zaś w r. 1869 wstąpił do Warszawskiej Szkoły Rysunkowej i tu pod kierunkiem Wojciecha Gersona przyswajał sobie „tajniki pędzla”. Z kolei pracował pod kierunkiem Jana Matejki. Wiele lat spędził malarz poza granicami kraju: we Francji i na Ukrainie. Odwiedził także Anglię, Hiszpanię, Holandię, Japonię i Włochy. W r. 1895 przenosi się do Krakowa i obejmuje katedrę w Szkole Sztuk Pięknych.

Wyczółkowski pozostawił bogatą spuściznę. Do najbardziej znanych jego obrazów należą: „Ucieczka Maryny Mniszkówny”, „Alina”, „Rybacy”, „Skamieniały Drenid”, „Sarkofagi”, „Orka na Ukrainie”, „Siewcy”. Wyczółkowski pozostawił także po sobie prace graficzne: Teka Wawelska, Starej Warszawy, Lubelska. Zbiory swoje przekazał Muzeum w Poznaniu i Bydgoszczy. Zmarł w grudniu 1936 r.

„KURIER POLSKI” zamieścił następującą ciekawostkę:

„Arcybiskup Nowego Jorku stanie przed sądem oskarżony o... porwanie. (Inf. wł.) 41-letnia Amerykanka p. Alice Ryan wystąpiła do sądu nowojorskiego z żądaniem przyznania jej od kościoła rzymskokatolickiego w USA 270 tysięcy dolarów tytułem odszkodowania za... unie możliwienie pożycia z mężem.

Jak pisze londyński „Daily Mail” p. Ryan zawarła ślub cywilny w 1950 r. z księdzem Walterem Ryan, który wystąpił z kościoła i zajął się handlem. Ale, jak pisze dziennik powołując się na oświadczenie małżonki eks-duchownego, „kościół uprowadził go i osadził w klasztorze”. Na liście pozwanych figuruje m.in. arcybiskup Nowego Jorku, kardynał Spellman”.

Myśli religijne

DOSKONAŁOŚĆ

Bóg jako Duch jest nieskonczenie doskonały. Takiego zdania jest nie tylko teologia polskokatolicka. Poważni myśliciele twierdzą to samo, gdy mówią, że „proces doskonałości jest nieskończony”, a dlatego jest ten rozwój (proces) doskonałości nieskończony, że pochodzi od nieskonczenie doskonałego Boga. Prawom tego rozwoju podlega wszystko co istnieje.

Rozwój doskonałości nazywamy życiem, zaś rozwój rozkładu nazywamy śmiercią. Nie ma jednak życia bez śmierci, jak nie ma śmierci bez życia.

Najważniejszym zadaniem wiary polskokatolickiej jest dążenie do uchronienia duszy ludzkiej przed rozkładem moralnym, następstwa którego są oplakane nie tylko na „tamnym świecie” lecz również na tym świecie.

Dążenie człowieka do doskonałości jest rzeczą wysoce pożyteczną, lecz jeszcze bardziej zbawienną rzeczą jest codzienne zdawanie sobie sprawy ze stanu naszej doskonałości, granice której są nieskończone.

LECH SĄDOMIRSKI

Gdyby miał talent, tworzyłby być może wielkie dzieła, tworzyłby coś, co siłą namiętności, rozpacz i strachu doprowadziłoby ludzi do szału. Niestety Fryderyk nie był artystą, nie potrafił ani rzeźbić, ani malować. Umiał tylko wczuć się w niektóre dzieła sztuki, stworzone przez innych. One wespół z wizerunkami przygodnie spotkanych ludzi, zoludniały świat jego wyobraźni, wystraszanej nadmiernie na skutek samotnego życia.

Fryderyk Neuman co najmniej raz w tygodniu odwiedzał Frognerpark. Tutaj, wśród kilku tysięcy nagich, wyrzeźbionych w granicie, żelazie i brązie ciał, czuł się dobrze. Godzinami wólczył się wzdłuż kilometrowej niemal alei i z rozkoszą przyglądał się martwym figurom, które ożywały w jego fantazji.

W rzeźbach Gustawa Vigelanda ucieleśniała się schorowana dusza Neumana. W nich odnajdował on samego siebie. Wierzył na przykład, że to jego osoba tkwi na samym dole siedemnastometrowej kolumny, złożonej ze 121 wizerunków ludzkich. Oszalał na go tragizm zaklęty w tym kolosie przedstawiającym kłębowisko nagich ciał, które rozpaczliwie pną się ku górze, tratując się wzajemnie. Ale tylko nieliczne są w dogodnej sytuacji. Większości nie uda się nigdy wydostać na powierzchnię.

Neuman był człowiekiem niskim i garbatym. Za to posiadał olbrzymi majątek. Z powodu swej brzydoty nie znał jednak w życiu szczęścia. Od wczesnych lat swej młodości marzył o pięknej kobiecie, która by go kochała. Ale jaka kobieta pokocha rudego garbusa? Początkowo walczył ze sobą o swoją godność. Później zrezygnował. Pogodził się z losem.

Zrozumiał, że wyrokiem przeznaczenia skazany został na ciągłe cierpienie. Cierpiał nie tylko z powodu własnych niepowodzeń, lecz także i cudzych. Prze-

żywał bóle artystów wtłoczone w rzeźby i obrazy. We wszystkich bibliotekach stolicy i większych miast Norwegii wyszukiwał książki opisujące tragedie ludzkie.

Znajomi twierdzili, że Fryderyk jest dziwakiem. Dla otoczenia pokazywał on tylko smutek i zamyślenie. Nikt nie wiedział co się właściwie działo w jego duszy i jak bardzo ona upadła. Fryderyk nigdy nie uczynił nic, co by dało poznać światu, że jest psychicznym degeneratem. Jego postępowaniem wobec ludzi kierował jeszcze wstyd, który coraz bardziej zanikał w świecie marzeń. Wobec otoczenia potrafił jeszcze utrzymać w ryzach własną naturę, aczkolwiek to w każdym roku przychodziło mu to trudniej. Natura ludzka nie znosi jarzma. Siłą swoich instynktów wyzwalała się ona wcześniej czy później, zabijając niekiedy swego ciemiężcę. Fryderyk wiedział, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie już mógł panować nad swymi żądzami i podda się im całkowicie. Bał się tego momentu i jednocześnie pragnął go całą siłą swej namiętności. Taki moment zbliżał się do niego nieuchronnie. W końcu 1958 roku Fryderyk Neuman zakochał się do szaleństwa w pięknej brunetce, która pracowała w jednym z jego zakładów odzieżowych jako modelka. Trzy lata ukrywał tę swoją miłość i nie narzucał się z nią dziewczynie. Rzadko bywał w salonie mój. Najwyżej raz na miesiąc. Ale to mu wystarczało do zapłodnienia wyobraźni aż do następnych odwiedzin. Mój Boże, czego on nie wyprawiał w myślach z Elżbietą! A w salonie mój nie śmiał patrzeć na nią nawet przez minutę. Kątem oczu rzucał tylko błyskawiczne spojrzenia na jej piękną sylwetkę i pierzchał do swego gabinetu, aby wydać się na łup marzeniom.

W sierpniu 1961 roku Fryderyk wychodząc z biura natknął się nieoczekiwanie w korytarzu na Elżbietę. Nie zdążył zapano-

wać nad sobą. Stał jak wryty i z uwielbieniem patrzył na dziewczynę. Ona również zatrzymała się i zakłopotana zapytała:

— Czy pan dyrektor ma do mnie jakąś sprawę?

— Nie, nie — odpowiedział szybko i uciekł.

Od tego czasu coraz częściej spotykał przedmiot swych marzeń. Czy był to zbieg okoliczności, czy też dziewczyna narzucała mu się? Długo się nad tym zastanawiał. Doszedł w końcu do wniosku, że tak cudowna kobieta nie może czuć do niego żadnej sympatii. Na pewno dla bogactwa chce zostać jego kochanką

mer telefonu salonu mój i tyleż razy nie mógł wykrztusić polecenia, by powiedziano Elżbiecie, że or. dyrektor, prosi ją do swego gabinetu. Wreszcie, któregoś dnia spotkawszy dziewczynę na korytarzu powiedział ku własnemu zdziwieniu niemalże zdecydowanie:

— Proszę wejść na chwilę do mego gabinetu.

Weszła. Fryderyk zamknął starannie drzwi i milczał.

— Słucham pana — zachęciła go do rozmowy.

Czuł się tak, jakby go publicznie smagano batami, kiedy wyjął z siebie:

JERZY ALEKSANDER

TRAGICZNE życie

lub żoną. Fryderyk był już jednak w tej fazie swych duchowych przemian, kiedy za wszelką cenę pragnął dogodzić własnym chęciom. Brakło mu tylko jeszcze woli, aby samemu stworzyć sobie okazję do wyzycia się. Czekał aż okazja ta sama mu się narzuci. I oto narzucała się. Instynkt nakazywał mu zrobić choć jeden krok na jej spotkanie.

Fryderyk postanowił wyznać Elżbiecie swoją miłość i oświadczyć się o jej rękę. Pragnął choć raz w życiu mieć piękną kobietę, a potem niech się stanie co chce. Dwa miesiące zastanawiał się jak uczynić wyznanie. W myślach po tysiąc razy przeżywał na nowo różne sceny oświadczeń. To prosił ją o rękę z godnością, to jak pies tarzał się u jej nóg i skamlał o litość, to znów groził, jak grozi skazaniec swemu katowi. Wiele razy wykręcał nu-

— Panno Elżbieto, czy chciałyby pani zostać moją żoną?

Zapadło milczenie. Fryderyk nie śmiał spojrzeć na stojącą przed nim kobietę. Nie widział co się działo na jej twarzy. Usłyszał wreszcie pytanie:

— Czy pan mówi poważnie?

— Wobec tego proszę mi dać dwa dni czasu do namysłu. W sobotę udzieli panu definitywnej odpowiedzi. Muszę się porozumieć z matką.

Dwa dni przeciągały się dla Fryderyka w wieczność. W sobotę rano na jego szafce nocnej rozbrzeczwał się telefon. W słuchawce usłyszał głos:

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to odwiedzę pana dziś wieczorem i pomówimy o pańskiej propozycji.

— Fryderyk szalał z radości. Gdyby nie miała zamiaru wyjść za niego za mąż, to by po prostu powiedziała przez telefon, że nie może związywać swego życia z jego życiem. Jeżeli zaś zdecydowała się przyjść, to znaczy że najwyższej będzie stawiała jakieś warunki, na które on gotów jest zgodzić się bez wahania.

Kazał wspaniale przygotować salon na przyjęcie gościa. Po wieczór stół ugiął się pod wyszukanymi potrawami i napojami. Zasłonięte stery i przyćmione światła stwarzały przytulny i tajemniczy nastrój. Fryderyk wyreżyserował w myślach każdy szczegół spotkania. Żaden monarcha na pewno nie był nigdy tak witany, jak miała być witana Elżbieta. Żaden władca nie otrzymał tyle holdów, ile Fryderyk przeznaczył ich w myślach — dla swej ukochanej.

A jak się odbyło wszystko w rzeczywistości?

Elżbieta przyszła świeża i pachnąca perfumami. Miała na sobie piękną wieczorową suknię. Zaprosił Elżbietę do stołu i poczęstował ją szampanem. Sam pił tego wieczoru dużo. Po którymś tam kieliszku Elżbieta powiedziała:

— Zgadza się zostać pana żoną.

Fryderyk rozplakał się ze



szczęścia. Oto ta piękna kobieta będzie należała do niego. Tylko do niego! Nareszcie los uśmiechnął się do kaleki. Obsypie ją kosztownościami i strojami, zaopiekuje się całą jej rodziną. Postara się dobrobytem osłodzić jej współżycie ze sobą, szpetnym mężczyzną.

W ten wieczór obdarował ją szczerze klejnotami. Urządzili, że ślub wezmą na Boże Narodzenie. Elżbieta zamieszka na razie w jednym z mieszkań jego kamienicy, bo on Fryderyk nie może pozwolić, by jego przyszła żona mieszkała w ciasnym pokoiku z licznym rodzeństwem. Do

Opowiadanie

rzeźb

nowego mieszkania przeprowadzi się natychmiast, gdy się je odnowi.

Fryderyk odwiózł Elżbietę własnym samochodem do domu. Wracając ogarnęła go zazdrość. Pomyślał, że to niemożliwe by dojrzała kobieta żyła bez mężczyzny. Na pewno ma kochanka. Trzeba więc ją jak najprędzej przeprowadzić do nowego mieszkania i mieć na nią oko.

W następnym dniu dwaj murarze zaczęli odnawiać pokój dla Elżbiety. Znajdowały się one obok apartamentów Fryderyka. Garbus kazał wybić w górnej części jednej ze ścian, mały otwór w formie wywietrznika. Przy pomocy małego peryskopu będzie mógł widzieć całe wnętrze sypialni swej narzeczonej.

W kilka dni później Elżbieta sprowadziła się do nowego mieszkania.

Przy owym „wywietrzniku” spędzał codziennie kilka godzin, zawieszony na bibliotecznej drabinie, znajdującej się w jego gabinecie. Obok półek z książkami.

Pewnego wieczoru doznał straszego wstrząsu. Elżbieta niecierpliwie spoglądała na zegarek i wyglądała przez okno. Fryderyk uświadomił sobie, że ona na kogoś czeka. Po obiedzie, spożytym razem w wytwornym lokalu, powiedziała mu, że źle się czuje i że ma zamiar natychmiast po przyjściu do domu położyć się do łóżka. Prosiła, by dziś jej nie odwiedzał. — A więc beczelnie mnie okłamywała — błąkała się myśl po głowie zazdrosnego mężczyzny. Fryderyk przytulony do „wywietrznika” drżał z niecierpliwości. Wreszcie stało się! W drzwiach sypialni ukazał się młody i przystojny mężczyzna. Elżbieta podbiegła do niego i położyła palec na swych pięknych ustach. Nakazywała mu milczenie. Potem rzuciła się w objęcia młodzieńca. Fryderyk o mało nie spadł z drabiny. Początkowo chciał biec do sypialni swej narzeczonej i zapobiec temu co się tam stanie. Ale nie mógł oderwać oczu od peryskopu. Jakaś straszna siła przykuła go do niego. Jak urzeczony patrzył na młodego mężczyznę, któ-

ry calował Elżbietę. Fryderykowi wydało się, że ożywione tajemną siłą — dwie rzeźby Vigelanda przeniesione zostały z Frognerparku na tapczan Elżbiety. Garbus zamknął z wrażenia oczy. Gdy je otworzył nie zobaczył w sypialni nic, prócz ciemności. Minęła chyba minuta zanim uświadomił sobie, że oni tam zgasili światło.

Zazdrość i rozpacz szarpnęły Neumanowi serce. Postanowił działać. Pobiegł do sypialni narzeczonej, wydobywając po drodze z kieszeni zapasowe klucze od zatrzasku obstalowane przeczornie u ślusarza. Otworzył drzwi i rzucił się w stronę kontaktu. Jasność zalała sypialnię. Oni widocznie zorientowali się w sytuacji, słysząc tupot nóg i skrzyp otwieranych drzwi.

Elżbieta stała obok tapczanu. Fryderyk zdążył uświadomić sobie, że twarz jej pała oburzeniem. Nie strachem, lecz oburzeniem. Na obliczu kochanka malowało się wielkie zakłopotanie.

Fryderyk dławiąc w sobie szloch podbiegł do narzeczonej i chwyciwszy ją oburącz za biodra, krzyczał:

— Obłudna kobieto, jak śmiałaś mnie okłamywać! Ty podła, podła, podła...

Fryderyk zatoczył się i usiadł na podłodze. Wstrząsnął nim szloch. Zrozumiał, że szczęście tylko na chwilę uśmiechnęło się do niego i natychmiast odeszło, zadając mu silny cios w serce. Jakby z za grobu, przy akompaniamencie własnych łkań rozróżniał słowa Elżbiety:

— Tylko głupiec taki jak ty, mógł żądać ode mnie wierności. Sądziłeś obrzydliwce, że wychodzę za ciebie z miłości? Że całkowicie wyrzeknę się szczęścia? Gdybyś był mądrzejszy rozumiałbyś, że wychodzę za twoje pieniądze, a nie za ciebie. Chciałam się sprzedać tobie i... chcę nadal. A teraz wybieraj: albo zgadzasz się na to, że mój kolega zamieszka z nami, albo odchodzę natychmiast.

Przestał płakać.

— Jak to — zapytał — chcesz zostać?

— Tak, jeśli się zgodzisz na ten jeden tylko warunek.

— A więc — myślał gorączkowo — pozwala mi żyć w cieniu ich miłości, karmić się jej okruciami.

Podniósł wzrok. Elżbieta była piękna... Uświadomił sobie, że nie przeżyje bez niej ani jednej nawet doby. Jeśli odejdzie, straci zmysły. Trudno, nie wyrzeknie się jej. To, co ma być, będzie chyba lepsze od ciągłej samotności. Weźmie, co mu los daje. Za stary jest i za ułomny, by odrzucać ułamki szczęścia.

Elżbieta podeszła do swego kochanka i przytuliła się do niego. Neumanowi znów pociemniało w oczach. Zawirowały przed nim dwa ciała ludzkie i zaczęły się gwałtownie mnożyć. Pomyślał, że oto ożywa kolumna Vigelanda z Frognerparku i że on, bogaty nędzarz, przytłoczony potwornym ciężarem nie zrobi już nic, by się od niego uwolnić.

REBELIA W KORYTNICY

Rzecz się działa niedaleko od Warszawy, bo w Korytnicy, położonej zaledwie o 80 km od stolicy. Miasto, nie, miasteczko, osada, jakich wiele w Polsce. A w tym miasteczku: apteka, izba porodowa, punkt weterynaryjny, sklep spółdzielczy, kiosk „Kuchu“, ośrodek zdrowia i nader niezdrowe stosunki w środowisku rzymskokatolickim. W tejsze Korytnicy doszło do znamiennych zajść, właśnie wśród parafian miejscowych. A rzecz się miała następująco:

Przez 12 lat „pasterzem” w tej parafii był ks. Cebula. Nie cieszył się on ani szacunkiem, ani poważaniem w swojej oweżarni. Musiał dobrze zająć za skórę parafianom, skoro ci raz po raz wysyłali posłów do biskupa podlaskiego o usunięcie ks. Cebuli z parafii. Po dłuższej zwłoce, kuria — nokns volens — musiała ks. Cebulę przenieść na inne probostwo. Na parafii osiadł ks. Kurowski, skrzętnie uganiający się za doczesnymi korzyściami, przy tym „katon” szczególnie dokuczający żeńskiej połowie swoich parafian. Ktokołwiek usiłował wyłamać się spod wpływu ks. Kurowskiego, kto zadawał się z miejscową inteligencją był dla proboszcza „beżbożnikiem”, którego piętnował z imienia i z nazwiska z ambony kościelnej. Swoim „taktownym” postępowaniem ks. Kurowski stworzył tak dalece nieznosną atmosferę w Korytnicy, że ten nieodpowiedzialny proboszcz musiał być odwołany z parafii. Mianowano nowego proboszcza. Został nim ks. Piotrowski, doktor teologii, człowiek spokojny, rzeczowy i nie demagog, nie uprawiający z ambony tandety pseudomoralizatorskiej. Ale ks. Kurowski i rozhisteryzowane przez niego dewotki nie chciały ani rusz słyszeć o nowym proboszczu. Znów zaczęto oprymować biskupa siedleckiego, aby odwołał nominację ks. Piotrowskiego i przywrócił w urzędowaniu ks. Kurowskiego. (Znamy tego rodzaju gierki różnych groszorbów w sutannach, wygrywających fanatyzm i głupotę ludzką). Ostatecznie ks. Kurowski opuścił Korytnicę, uwożąc swe mienie na dwóch ciężarówkach. A przybył tu zaledwie z jedną walizką w rękę...

Odjazdowi ks. Kurowskiego towarzyszyła „spontaniczna” manifestacja „miłości” kochających go parafian, którzy gorliwie byli namawiani do tej demonstracji przez najbliższych przyjaciół ks. Kurowskiego. Interes został opity w miejscowej gospodzie ludowej. Rachunek wyniósł „niewiele” — bo 620 zł — i pretorianie ks. Kurowskiego uderzyli w „czynów stal”. Jako te Rejtany chcieli położyć się pod koła ciężarówek, aby udaremnić wyjazd obrotowego proboszcza. Ale ks. Kurowski ostatecznie opuścił Korytnicę.

Spór o władzę nad parafią nabierał na sile i gwałtowności. Połała się krew... z dymem puszczono chudobę zwolennika ks. Piotrowskiego. „Kurowszczyzy” triumfowali... Histeria narastała z każdym dniem. Koło kościoła zaciągnięto pikiety. Skończyło się na pobiciu przez „kurowszczyków” ks. Piotrowskiego. Kuria mianowała nowego proboszcza. Został nim zakonnik. Zrazu nie mógł się on dostać do kościoła, który był ustawicznie pikietowany, zamki kościelne złośliwie zagipsowane. Cóż miał robić proboszcz-zakonnik. Nie załamał się. Po drabinie, przez okno dotarł do wnętrza kościoła i zaczął przygotowania do Mszy św. Wtedy jedna z bardziej awanturniczych tercjarek zaalarmowała zfanalizowany tłum, który wtargnął do kościoła. Zelżony i poturbowany zakonnik opuścił kościół i Korytnicę.

Plac przed kościołem opustoszał. Na kościele powiewają tylko czarne chorągwie na znak, że świątynia została sprofanowana. Na drzwiach w żalobnych ramkach wisi dekret podpisany przez biskupa Ignacego z Siedlec — treści następującej:

„Na skutek smutnego i bolesnego zajścia, jakie miało miejsce w Korytnicy Węgrowskiej, zmuszony jestem w myśl kan. 2260 obłożyć parafię Korytnicę interdyktem lokalnym i generalnym.

Wobec tego na terenie parafii nie mogą być oddawane wiernym żadne posługi religijne z wyjątkiem administrowania sakramentów dla umierających i udzielania sakramentu Chrztu św. Ci zaś parafianie, którzy czynnie przyczynili się do znieważenia kościoła i dnia niedzielnego przez uniemożliwienie kapłanowi odprawienia Mszy św., a wiernymi do spełnienia obowiązku jej wysłuchania zaciągnęli ekskomunikę, od której rozgrzeszenie rezerwuje sobie”.

Dan w Siedleach, dn. 18.II.1962

Ks. biskup Ignacy (Świrski)

*

Taki jest stan faktyczny. Na marginesie całej tej sprawy wypada stwierdzić jedno: źle, bardzo źle się dzieje w Korytnicy. Atmosfera, w której możliwe jest rozplomienie wiernych aż do rozlewu krwi i puszczania z dymem współbraci, świadczy o jakimś dziwnym zwyrodnieniu, potwornie grzesznej obsesji tych, którzy zamiast nauczać bliźnich, dopuszczają się bratobójczych krwawych bójek. O, zaprawdę — jak dalece upadli pasterze podłasy, jeśli w wyniku ich egoistycznych knoń świątynia pańska została sprofanowana.

Boże odpuść im — bo zaiste chyba nie wiedza co uczynili.

JAK POWSTAWAŁY PRZYSŁOWIA?

Każda epoka dziejów tworzy nowe powiedzonka i przysłowia. Jedne giną wraz z pokoleniem, które je stworzyło, inne trwają całe wieki, choć potomni nie wiedzą jak powstały i z czym się ich powstanie wiąże.

Jednym z najstarszych „porzekadeł”, pamiętających czasy Bolesława Chrobrego jest powiedzenie „ale mu łaźnię sprawili”. Otóż jak podanie głosi Bolesław Chrobry miał zwyczaj synów swych i innych dworskich młodzieńców karać, i to ponoć dość dotkliwie właśnie w łaźni.

Z czasów zygmunto-wskich wiele przysłów odnosi się do popularnych wówczas żaków np. „Gorzej niż raka obawiaj się żaka”, lub „Żak i wilk zawsze jednako głodni”. W XVI wieku popularne było powiedzenie: „Pełna szkoła żaków”, które oznaczało całkowite nasycenie głodu.

Niejedno z przysłów z czasów Jana Sobieskiego przypomina błędy tego króla. Bez-użyteczność wyprawy pod Wiedeń znalazła oddźwięk w dziś już historycznym przysłowiu „Tyle to warte co bić się za Wiedeń”. A niepomysłne wyprawy tegoż króla na Wołoszczyznę, zrodziły inne, też krytyczne powiedzonko współczesnych: „Zarobił jak król Jan na Wołoszczyźnie”.

Z okresu Sobieskiego, podobno, datuje się także powstanie przysłowia, do dziś używanego: „Słowo się rzekło, kobyłka u plotu”. Pewien szlachcic wybierał się w swojej jakiejś sprawie do króla Jana. W drodze spotkał gromadę szlachty wracającą z polowania. Wśród szlachty był i król, ale że szlachcic nasz króla nigdy nie widział, to i teraz nie poznał. Zatrzymał się szlachcic, pogadał sobie o tym i owym ze spotkanymi i opowiedział im, że do króla z prośbą, a sprawą ważną się wybiera. A że szlachciura krewki był powiada, że jak król się do jego prośby

nie przychyli, to „może sobie kobylicę w ogon pocałować”. Można sobie wyobrazić jaką skonfundowaną minę miał dziarski szlachcic, gdy stanawszy na drugi dzień przed obliczem króla rozpoznał w nim jednego ze spotkanych na drodze myśliwych. No, ale co było robić, wyluszczył swe prośby królowi, a król, widząc mający poczucie humoru pyta szlachcica, a co będzie jeśli prośby jego nie spełni. Na to rezolutny szlachcic odparował „Trudno miłościwy Panie, słowo się rzekło — kobyłka u plotu”!

Z czasów saskich przetrwało do dnia dzisiejszego znane przysłowie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”, którego znaczenie i dla nas jest zupełnie zrozumiałe.

I obecnie używamy przysłowia „Szkoda czasu i atlasu”, a liczy ono sobie blisko 200 lat. Tymi słowy podziękował, niezbyt co prawda uprzejmie Stanisław August Poniatowski nie bardzo widąc utalentowanemu poecie, który mu swój wiersz wyhaftowany na atlasie ofiarował.

Wielu powiedzonek i przysłów, które do naszych czasów przetrwały, nie umiemy sobie wytłumaczyć, wiązały się z jakimiś dawnymi faktami i zdarzeniami, które zostały zapomniane. Choćby np. „Wyskoczył jak Filip z konopi”. Jedni tłumaczą, że chodziło tu o szlachcica Filipa z Konopi, który wyrwał się kiedyś na szlacheckim sejmiku z jakąś niefortunną uwagą, inni przypuszczają, że chodzi tu o zającą, którego w niektórych okolicach, dawniej zwano „filipem”. Można tak, można inaczej. W każdym razie ciekawe jest śledzenie barwnego żywota przysłów i powiedzonek, których każda epoka po trochu dorzucała do skarbcza narodowej kultury.

M. A.

CZYTELNIKU! Czy posiadasz już wszystkie książki wydane przez WLR?

Dla zainteresowanych podajemy spis broszur i książek będących do nabycia w dziale sprzedaży WLR:

- 1) Ziarna Boże — konferencje religijne 16,00
- 2) Przez Maryję do Jezusa — rozważania maryjne 10,00
- 3) O Kościele Jezusa Chrystusa 3,00
- 4) Katechizm Kościoła Polsko-katolickiego 6,00
- 5) Dziecię z Betlejem 8,00
- 6) Zbuduję Kościół mój 4,00
- 7) Wierzę w Kościół Katolicki 4,00
- 8) Zarys dziejów papieżstwa 20,00
- 9) Od celibatu do cudzołóstwa 3,00
- 10) Biblijne podstawy papieżstwa rzymskiego 4,00
- 11) Sakrament Chrztu św. 4,50
- 12) Sakrament Pokuty 4,50
- 13) Sakrament Bierzmowania 4,50
- 14) Sakrament Eucharystii 4,50
- 15) Idea Kościoła Narodowego w literaturze polskiej 5,00
- 16) Kulisy nieomyślności 5,00

Zamówienia realizujemy po uprzednim wysłaniu należności przekazem pocztowym lub blankietem na konto PKO, W-wa nr 1-14-147290 lub na nasz adres: WLR, Warszawa, ul. Wilcza nr 31.

Szturm na sklepy z czeskimi bublami

Okazało się w Tatrzńskiej Łomnicy, że nasz autokar był jednym z wielu, który przywiózł turystów z Polski. Były autokary ze Śląska. Przyjechali nimi górnicy. W innych znów można było zobaczyć pracowników z Wadowic, Sosnowca, Zawiercia, z Sandomierza i Lublina. To są rzeczywiście turyści, którzy w ramach turystyki uprawianej przez rady zakładowe znaleźli się na zagranicznej wycieczce. Tę kategorię turystów można poznać po tym, że zwiędzają gromadnie co ciekawsze fragmenty, szczerze podziwiają piękno widoków. Wielu z nich robi zdjęcia taniutkim „Pionierem”, lub „Druhem”, kupują widokówki, popijają zimnego piłznera, inni herbatę, a co poniektórzy wymykają się na lampkę wina.

Ale wróćmy do moich towarzyszy podróży ze szczawnickiego autobusu.

Jeszcze nie zdążył kierowca zagasić motoru, kiedy jeden przez drugiego rzucili się do okolicznych sklepów. Takich gorliwych „zakupowiczów” z Polski było we wszystkich sklepach znacznie więcej. A sklepy w Tatrzńskiej Łomnicy i w sąsiednim Smokowcu mają półki pełne wybrakowanych asortymentów, które w głębi Czechosłowacji stanowią artykuł niechodliwy — a w przygranicznych miasteczkach, sąsiadujących z Polską, stanowią poszukiwany towar dla „turystów” — szmuglerów, wykorzystujących tzw. „mały ruch

graniczny”. Naszych rodaków interesują skórzane rękawiczki, apaszki, bielizna, koszulki, swetry, berety, kosmetyki, teczki skórzane, wody kwiatowe, pomadki do ust, lakiery do paznokci. W zamian za uzyskane korony za artykuły przywiezione z Polski nasi turyści wykupują dziesiątki par rękawiczek, butów i wszelkiego towaru, jaki popadnie pod rękę. Zrozumiałem zagadkę kielbas i ćwiartek spirytusu.

Stosunek obsługi, sprzedającej w sklepach, do tych rozpalonych namiętnością turystów polskich

mi szczerze, ale i z ironią; gdyby nie było nabywców z Polski, nie mielibyśmy tak dużych obrotów i wynikających stąd premii. Wszystko co mamy w sklepie, kupią niektórzy pańscy rodacy. — Głupich nie sieją, sami się rodzą — pomyślałem.

— Co łobuzie, zabierasz mi pan moje rękawiczki, które chcę kupić. Mało pan już masz? Chyba z 15 par..

— Nie zwracaj pani głowy, a pani pod tym wydatnym biustem masz już ze czterdzieści rękawiczek. O ja panią znam..

— No to co... — uśmiechnęła się.

NASI ZA GRANICĄ...

jest nieprzyjemny i upokarzający. Ale „pecunia non olet”. „Cham chamelem” — powiedział Zagłoba. I polskie chamstwo eksportowane do Czechosłowacji nie przynosi nam zaszczytu. Cieszymy się w pasie przygranicznym wręcz złą opinią. Garść kombinatorów bez skrupułów, łobuzów bez sumienia, zawodowych hochsztaplerów i paskarzy, nicponiów i drobnych łotrzyków, pod pozorem turystyki, uprawia pospolicie szmugiel. Ich zachowanie i postępowanie brutalne, cyniczne, zuchwałe, popierane argumentem pięści — rzutuje na opinie o nas Polakach w rejonach przygranicznych.

Kierownik dużego magazynu z maszynowym obuwem, kiedy zagadnąłem go o obroty, powiedział

szczerząc złote zęby rodaczka ze Szczawnicy. — Grunt to interes..

— Grunt to forsa — mruknął stojący obok ponurak, uczesany a la Tytus..

— Rzeczywiście, rację pan ma — powiedziała inna przekupka ze Szczawnicy — ta już nie miała na szyi krzyżka. — Byle tylko przewieźć... Byle tylko przewieźć... O matko Boska..

W drodze powrotnej w autobusie to samo napięcie.

— Czesi nie rewidują, gorzej będzie z naszymi... Ci dranie celnicy tylko czepiają się ludzi... to najgorsze lapy... nie dadzą zarobić... — mówi babsztyl-przemysłnik do młodego bikiniarza.

— Panie, pan przecież nie wie

wiezie do domu — powiedział do mnie najbardziej ruchliwy szmugler-turysta. — Panie, ja się panu odwdzięczę. Niech pan weźmie i przeniesie tę paczuszkę..

— Przenieść, aby panu użyć, czy przenieść, aby przemycić?

— Co pan nie rozumie? Taki wydawało się, że inteligentny człowiek, a frajer..

Takiemu jak ja frajerowi nikt nie uczynił dalszej propozycji. Natomiast na punkcie kontrolnym przyczepił się do mnie celnik, troskliwie dopytując — co wiozę? Pokazałem flakonik z lakierem do paznokci i butelkę napelnioną piłznerem.

— A złota pan nie wiezie?

— Nie. (Moi współtowarzysze ironicznie uśmiechali się mijając mnie na ganku).

Pokazałem dziennikarską legitymację. Zostałem, jak to się mówi, „nadany” celnikom, jako „lepszy” szmugler i przemysłnik. Po wlegitymowaniu mnie, celnik powiedział:

— Przepraszam, to nie pierwszy raz kapują na przyzwoitego człowieka nasi domorośli szmuglerzy i koniokradzi..

— Domyślam się. Przecież oczywiście jest, że tędy i owędy idzie drobnicowy przemysł w obydwie strony.

— Ach tam... powiedział porucznik straży granicznej i machnął ręką, po czym zaszalutował i powiedział: dziękuję panu redaktorowi..

A. KŁOS

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pani Urszula Makowska z Rudy Śl. jest „bardzo ciekawa” naszej „mądrzej” odpowiedzi. Istotnie „pokusiła się” pani na napisanie listu niezbyt grzecznego, uszczypliwego. Nie tylko myślenie ma kolosalną przyszłość ale i dobry ton i uprzejmość. A tak brak tej uprzejmości w naszym życiu. Pani nam zarzuca, że „Rozmowy z Czytelnikami” są „zbyt cięte”. A czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że przychodzą do nas listy jadem pisane, w których każda linijka roi się od pornografii i przekleństw? List pani nie sprawił nam kłopotu. O, nie. Był jeszcze na tyle pogodny, że utrzymany w granicach przyzwoitości. Dulszczyzna nadal niepodzielnie hasa sobie

między ludziskami i my na to nie nie poradzimy. Są tacy ludzie, którzy wołają wodę z cudownych źródełek sprowadzać i leczyć się u znachorów. I my im tego nie możemy zabronić. Od pani więcej wymagać mamy prawo. Proszę czytać „Rodzinę” i patrzeć na rzeczywistość. A może jednak... mamy rację.

Pan Alfred z Katowic — pisze, że „Rodzina” wywarła na niego duże wrażenie i sympatyzuje z nami. Pan Alfred postawił nam kilka pytań. M.in. pytanie dotyczące rzeczy ostatecznych, piekła.

Grzech ciężki musi być wyraźnym, świadomym i dobrowolnym buntem przeciwko Bogu. Najczęściej jednak człowiek działa pod wpływem afektu, a w takich warunkach grzech ciężki trudno jest popełnić. Grzech ciężki to przede wszystkim nienawiść do Boga i deptanie Jego przykazań. Wiemy z tego co Kościół naucza, że ludzie muszą odpowiedzieć za swoje uczynki i za nie otrzymać zapłatę albo karę. Radzimy przeczytać artykuł pt. „Sakrament Pokuty jako środek do pojednania z Bogiem”. Pozdrawiamy.



LEKARZ RADZI

ZÓLTACZKA ZAKAŻNA

W ostatnim 10-leciu żółtaczka zakaźna osiągnęła piąte miejsce wśród najbardziej rozpowszechnionych chorób zakaźnych w Europie. W 1959 roku zanotowano wyraźny wzrost zachorowań na żółtaczkę, obecnie zmniejszyła się liczba ta prawie o połowę. Mimo to choroba jest dość częsta. Żółtaczkę zakaźną wywołuje wirus. Żółtaczka szerzy się różnymi drogami. Zakażeniu sprzyjają większe skupiska ludności, jak szkoły, koszary, internaty, stołówki. Wirus wydziela się z kałem chorego oraz z wydzieliną z nosa i gardła, jeszcze przed wystąpieniem objawów choroby. Na żółtaczkę stosunkowo częściej zapadają dzieci w wieku 5 — 14 lat. Śmiertelność nie przekracza 0,5 proc.

Choroba rozpoczyna się nagle, temperaturą do 39 stopni C, mdłościami, bólami brzucha, czasem wymiotami. Charakterystycznym objawem jest ciemny kolor moczu chorego, jasna barwa kału oraz żółtawo-zielonkawe zabarwienie skóry i błon śluzowych. Stan taki trwa od 2 do 6 tygodni. Wyzdrowienie następuje po 6—8 tygodniach, lecz całkowitą zdolność do pracy chorego osiąga nie prędzej niż po 3. a czasem i 6 miesiącach.

Wirus żółtaczki zakaźnej atakuje wątrobę, niszcząc jej komórki. Nieodpowiednia dieta i pielęgnacja chorego mogą doprowadzić do całkowitej niewydolności wątroby. W każdym więc wypadku podejrzenia żółtaczki należy wezwać lekarza i przewieźć chorego do szpitala.

Medycyna do tej pory, niestety, nie dysponuje lekiem działającym bezpośrednio na wirusa żółtaczki. Leczenie opiera się przede wszystkim na pielęgnacji i diecie. Chory musi bezwzględnie leżeć, musi mieć zapewniony spokój; oraz dietę wysokokaloryczną, obfitą w cukry i witaminy. Dietę przy żółtaczce opiera się przede wszystkim na słodczykach, sokach owocowych i jarzynowych, białku zawartym w białym serze, gotowanych rybach i gotowanym białym mięsie. Nie wolno podawać żadnych tłuszczów zwierzęcych, z wyjątkiem małych ilości masła.

Główną drogą szerzenia się żółtaczki jest kontakt z chorym. W wypadku zetknięcia się z chorym należy w jak najkrótszym czasie przyjąć gamma-globulinę, która posiada bierno-ochronne działanie i w ciągu 6 — 8 tygodni chroni przed zachorowaniem.

Dr A. M.

TYLKO DLA KOBIEC

PRASOWANIE SZTYWNEJ BIELIZNY

Zabierając się do prasowania białej bielizny musimy pamiętać, że żelazko musi być dokładnie wyczyszczone (w przeciwnym razie przyżółca białe). Następnie przygotowujemy dwa naczynia: jedno do krochmalu, drugie do wody, także kawałek czystego płótna do moczenia zaschniętych, źle uprasowanych miejsc i wybielania plam, również płótno do zawinięcia nakrochmalonej bielizny i grubego materiału do podłożenia, a na to czyste płótno.

Krochmal robi się na zimno. 15 g krochmalu rozpuszczamy w 1/4 l zimnej wody, dodając 13 łyżeczek boraksu rozpuszczonego w nieco gorącej wodzie. Krochmal winien być gęsty jak pełne mleko. W nim to moczymy białe i wciśniamy mocno szmatką. Wyciskamy mocno białe, zawijamy w płótno i odkładamy na kilka minut. (Jeśli krochmal pozostaje na wierzchu, oznacza to, że jest zbyt gęsty i należy go rozcieńczyć). Żelazko musi być odpowiednio nagrzane. (Jeżeli puścimy na żelazko kropelkę zimnej wody i woda sycząc paruje to znaczy, że jest ono gotowe do prasowania). Na wypadek gdyby białe się przyżółciło, należy te miejsca prędko zmyć ciepłą wodą; w której rozpuszczamy nieco boraksu. Dla nadania połysku kołnierzykowi zwilżamy raz jeszcze szmatką w zimnej wodzie i prasujemy ruchem kołyszącym tylną częścią żelazka.

PARZYMY DOBRĄ KAWĘ

Kawę nie należy gotować tylko parzyć (mowa o kawie prawdziwej, ziarnistej).

Kupując kawę trzeba zwrócić uwagę, żeby była świeża palona, a więc nie zwietrzała, tylko aromatyczna. Czasem między ziarnkami kawy zdarzają się ziarenka, które nadają kawie przykry smak lekarstwa.

Wystarczy kilka takich ziarenek, aby popsuć smak kawy.

Często zdarza się, że tego samego młynka używa się do mielenia kawy, pieprzu, różnych korzeni. Kawa stosunkowo bardzo łatwo przechodzi obcymi zapachami — i w takim wypadku ma smak korzeni, tylko nie kawy. Młynek winien służyć wyłącznie do mielenia kawy.

Woda, którą parzymy kawę, winna być dobrze zagotowana. W ten sposób stała się miększą. Kawę należy parzyć wodą silnie wrzącą. (Ważne jest także, aby woda gotowała się w saganie przeznaczonym wyłącznie do gotowania wody).

Do kawy nie należy dodawać jakichkolwiek domieszek. Jeżeli już nawet chcemy dodać nieco cykorii, trzeba to zrobić z wielkim umiarem.

Maszynka do parzenia kawy winna składać się z imbryka, sitka tzw. dolnego, sitka górnego, przykrywającego kawę, a służącego do tego, aby nalewana woda równomiernie spływała na całą powierzchnię kawy, przykrywkę. Imbryk należy wstawić do naczynia z gorącą wodą, tak aby kawa w czasie parzenia nie stygła. Dziębek imbryka należy zatkać korkiem (aby kawa nie straciła aromatu). Do sitka sypiemy kawę. Sitko zamykamy górnym sitkiem. Następnie nalewamy wrzącą wodę na górne sitko, zwracając uwagę, żeby woda spływała na całą powierzchnię kawy. Po każdym nalaniu wrzątku zamykamy maszynkę przykrywką.

Jeżeli nie posiadamy maszyny do parzenia kawy możemy przyrządzić kawę (dobrą) zachowując jednak proporcję kawy do wody (25 gramów kawy na 1/2 litra wody); posiadając garnek z przykrywką, przeznaczony wyłącznie do parzenia kawy, sitko przeznaczone wyłącznie do cedzenia kawy.

Kawę wsypiemy do garnka, wlewamy od razu wrzącą wodę, garnek przykrywamy pokrywką (szczelnie) i po ok. 5 minutach cedzimy kawę przez sitko do imbryka, a następnie podajemy na stół.

Anekdoty

Chaplin lubi chodzić do kina na nieme filmy. Gdy kiedyś go zapytano, dlaczego przegląda nieme filmy nad dźwiękowe, odpowiedział:

— Niemy film jest jedyną okazją do oglądania cudów nie spotykanych nigdy w życiu. Na przykład — zawsze się ciesze, gdy w niemym filmie widzę kobietę, która otwiera usta i... nic nie słychać.

Pewien tyran wezwał do siebie filozofa i rozkazał mu:

— Naucz mojego kanarka wierszy Homera. Naucz go tak, aby mógł recytować z pamięci. Jeżeli nie podejmiesz się tego, będziesz musiał opuścić moje państwo. Jeżeli zaś podejmiesz się i nie uda ci się — umrzesz.

— Dobrze, nauczę go recytować Homera — odpowiedział filozof. — Jednak musisz mi dać na to 10 lat czasu.

Tyran wyraził zgodę. Przyjaciele zaś spyтали go później:

— Dlaczego podjąłeś się wykonania tak niemożliwej rzeczy?

Filozof śmiejąc się odparł:

— W ciągu tych 10 lat ktoś z nas na pewno umrze: albo kanarek, albo tyran, albo ja.

*

Beethoven został zaproszony do konserwatorium, aby wydać opinie o grze jakiegoś artysty. Po skończonym recitalu Beethoven wypowiedział następujące zdanie:

— Zawsze mówiłem, że słonie to niebezpieczne zwierzęta.

— Ależ, mistrzu — zawołał młody muzyk. — Co słonie mają wspólnego z muzyką.

— Słonie dostarczają kłów, z których robi się klawisze do fortepianu — dodał Beethoven.

KWIECIEŃ

N	15	N. Palmowa, św. Bazylego
P	16	św. Julii, św. Joachima
W	17	św. Roberta, św. Aniceta
Ś	18	św. Bogumiły
C	19	W. Czwartek, św. Adolfa
P	20	W. Piątek, św. Teodora
S	21	W. Sobota, św. Anzelm

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 8-97-84; 21-74-98. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędę Pocztowe, Histonosy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-14-147290 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26 półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104. Przedpłaty na te prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa, Konto Nr 1-14-147290. Czytelnicy poza granicami kraju mogą zamawiać tygodnik „Rodzina” za pośrednictwem: Przedsiębiorstwa Eksportu i Importu „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46; prenumerata roczna dla Europy wynosi: 7 \$ 19.70 DM, 23.40 NF 1.13,6 £; prenumerata roczna dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 \$; prenumerata roczna dla Australii 2.10,5 £A i 20.4 £E.



Z WIZYTĄ W LICEUM



Liceum Ogólnokształcące im. Władysława IV mieści się przy ul. Jagiellońskiej 38. Dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława IV jest p. mgr Jan Bierzan.

Z nami rozmawia wicedyrektor p. Antoni Rutkowski i oprowadza nas po pracowniach i klasach. W korytarzu dostrzegamy portret Władysława IV. Namalował go prof. Wacław Palessa.

Pan wicedyrektor wyjaśnia, że Władysław IV był opiekunem nauki, dbał o szkolnictwo, szczególną zaś opieką otoczył w Warszawie Pragę.

W jednym ze swoich artykułów zamieszczonych na łamach „Rodziny” na temat wychowania młodzieży autor pisał, że przyzwyczailiśmy się dzielić zadania wychowawcze między rodzinę i szkołę. Zarówno rodzina jak i szkoła winny przejąć się ważnością swego powołania.

Dzisiaj z bliska przyglądamy się tej młodzieży, która będzie taką, jakiej nadamy kierunek. Przyglądamy się spacerującym podczas przerwy po korytarzu uczniom, ich roześmianym twarzom, przysłuchujemy rozmowom. Przypominamy sobie swoje lata szkolne. Dzwonek daje znać, że za chwilę zaczną się zajęcia. Młodzi ludzie rozchodzą się do klas. Teraz widzimy ich skupionych przy zajęciach. W pracowni robót ręcznych pod kierunkiem profesora Witolda Dobieleckiego czyszczą stoliki szkolne. Pan profesor pokazuje nam przedmioty wykonane przez chłopców. Młodzież z klasy VIII d w pracowni robót ręcznych jest zdyscyplinowana.

W pracowni geograficznej pani prof. Janina Zych prowadzi lekcję geografii dla klasy VIII a. Wywołana uczennica do odpowiedzi jest może trochę speszona, ale odpowiada wyczerpująco na pytanie.

W IX a p. mgr Bonifacy Bugaj tłumaczy zawile działanie matematyczne, zaś w IX e profesor A. Chruszczyński mówi o periodyzacji polskiego Oświecenia. W klasie XI c prof. Klemens Sardowski prowadzi wykład z fizyki.

Nie chcemy zabierać dużo czasu, dlatego przebywamy tylko po kilka minut w każdej z klas. Czeka nas jeszcze dzisiaj wywiad w jednej z ambasad, zaś w nocy wyjazd dr Bolesławia. A na młodzież czeka praca. Nie chcemy przeszkadzać w zajęciach. Potem oglądamy jeszcze aule, eksponaty zgromadzone w gablotkach na korytarzu. Wicedyrektor i tak poświęcił nam godzinę swego cennego czasu.

Przy pożegnaniu mówimy, że przyjdziemy tu jeszcze kiedyś i więcej czasu poświęcimy młodzieży. Wicedyrektor zaprasza nas. Jest uprzejmy. Prawdziwy pedagog.

Młodzieży życzymy sukcesów w nauce. Tym z jedenastej, złożenia egzaminów dojrzałości, młodszym kolegom przejścia do następnej klasy.

P.S. Odwiedzimy jeszcze i inne szkoły na terenie Warszawy i będziemy o tym pisać.

Rozmawiali:
TA-GOR i JA-CHO
Foto:
J.KURULISZWILI



1. Redaktorzy „Rodziny” w rozmowie z wicedyrektorem.

2. Przyglądamy się młodzieży podczas przerwy.

3. Profesor Dobielecki z uczniami kl. VIII d. podczas zajęć w pracowni robót ręcznych.

4. Prof. Zych i uczennice w pracowni geograficznej.

5. A w IX a matematyka.

6. Prof. Chruszczyński mówi o periodyzacji polskiego Oświecenia.

